◆jutrzenka◆

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 6 lutego 1938 r. Nr. 22



KOLEJ POPRZEZ GÓRY i WĄWOZY.

Na zdjęciu naszym rzut oka na górską linię kolejową w południowej Brazylii, biegnącą wśród mało wniczego, dzikiego krajobrazu, poprzez góry, lasy i przepaściste wąwozy, pooczątne długimi mostami.

KASZTANY.

(Wypadek historyczny)

Ks. Bosko — a dzisiaj już z dumą możemy powiedzieć św. Jan Bosko — ponieważ zaliczony został w poczet w poczet świętych — największą miłością otaczał biednych chopców — i im poświęcił całe swoje życie. On to założył opiekujące się biednymi chłopcami Zakłady Salezjańskie dzisiaj rozpowszechniane po całej kuli ziemskiej. Niedawno miniony dzień 31 stycznia jest poświęcony św. Janowi Bosko i dlatego podajemy naszym Kochanym Czytelnikom zdarzenie pawdziwe z Jego życia.

Był to Dzień Zaduszny, niedziela po Wszystkich Świętych 1849 r. W Turynie we Włoszech, na Valdocco na podwórzu oratorium zawrzało.·jak w ulu. Wśród rozbawionej gromady stanął ks. Bosko, ubrany w kapelusz i długą pelerynę.

— Pójdziemy złożyć wizytę naszym zmarłym —oświadczył ks. Bosko — a wieczorem — kasztany!

Oooo! — odpowiedział mu długi okrzyk. — Niech żyje ks Bosko! — wylatywały w górę okragłe berety i cała gromada cisnęła się do księdza.

W drogę! — padła energicznie komenda.

Uciszyło się nieco i za chwilę cztery setki łobuzów z hałasem i śmiechami waliło tęgim krokiem przez ulice gwarnego Turynu. Na odchodnym ks. Bosko szepnął matce Małgorzacie:

— Niech matka przygotuje na wieczór kasztany. — Spojrzał na trzy wory napełnione dojrzałym owocem i pospieszył za chłopcami.

Ze śpiewem maszerowali na cmentarz. Po drodze mijali przechodniów, którzy z politowaniem patrzyli na księdza wśród gromady łobuzów i z drwiącym uśmiechem szeptali coś do siebie.

Przechadzka udała się doskonale. Najpierw zwiedzili chłopcy cmentarz, pomodlili się na grobie dobrodziejów Oratorium, a potem zabawa na całego. Chorągiewka, karabinierzy, piłka zatruta, na koniec ulubione opowiadanie ks. Bosko.

Dobrze zmęczeni wracali wieczorem do Oratorium. Przodem ks. Bosko wysłał Buzzettiego, aby przyszykował zapowiedziane kasztany. Chłopcy z hałasem stanęli przed kaplicą i chórem zakrzyknęli·

— Dziękujemy ks. Bosko za przechadzkę!

— A teraz kasztany — wyrwał się któryś z gromady.

— Dobrze, będą kasztany — żartował ks. Bosko — tylko nie wiem czy znajdą się amatorzy.

Znowu wrzawa zagłuszyła jego słowa. Prędko się jednak uciszyli

— To znaczy, że nie chcecie kasztanów? — przedrzeźniał ks. Bosko.

— Chcemy, chcemy! odkrzyknęli jednogłośnie.

W takim razie dwóch silniejszych niech idzie pomóc Buzzettiemu.

Za chwilę przyniesiono koszyk pełen kasztanów. Wszyscy uszeregowali się i kolejno podchodzili do ks. Bosko, który jak zwykle, wspypywał

każdemu dobrotliwie hojną miarę do czapki.

— Proszę księdza, przy takim rozdawaniu zabraknie nam kasztanów — upomniał Buzzetti.

Kilku chłopców trąciło Buzzettiego w obawie, że nie otrzymają swojej porcji.

— Czy tylko tyle tych kasztanów? — Skinął potwierdzającą głową. Z żalem patrzyli na opróżniający się koszyk. A ks. Bosko ani myślał zmniejszać porcji. Jakby nie słyszał upomnienia Buzzettiego nadal całą garścią rozdawał ulubiony przysmak chłopców. Wiedział przecież, że trzy worki kasztanów powinny wystarczyć dla wszystkich.

Kiedy koszyk był już zupełnie pusty poszedł do matki... Jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył, że na dnie garnka pozostało zaledwie trochę kasztanów. Spojrzał na zatroskaną twarz matki Małgorzaty.

— Myślałam, że to tylko dla starszych — tłumaczyła się z żalem.

Ks. Bosko spojrzał w niebo i chwilę stał bez ruchu. Potem bez wahania już wrzucił do kosza resztę kasztanów i przyszedł do oczekującej nań gromady. Chłopcy zaglądają do koszyka. Całe setki nie otrzymały jeszcze swojej porcji, a w koszu pustka. Ks. Bosko nadomiar złego nieoblcizalnie rzuca każdemu całymi garściami. Chłopcy stojący dalej zaczynają się niecierpliwić. Tymczasem ks. Bosko rozdawał bez przerwy rozdawał tak długo, aż paru tylko chłopców zostało przed nim. Cisza się stała wielka. Nikt nawet nie jadł, patrzyli tylko, jak urzeczeni na ks. Bosko, który z uśmiechem na twarzy rozdzielał im kasztany. Jak niegdyś Chrystus chleb...

Pozostał ostatni. Ks. Bosko zbliżył się i w wyciągnięty beret wysypał całym koszem resztę kasztanów

— Niech żyje ks. Bosko! — zerwały się nagle okrzyki podziwu i zachwytu. Wszczął się nieopisany zamęt. Każdy chciał stanąć bliżej cudotwórcy. Tłoczyli się, krzyczeli i rozpychali...

Z trudnością udało się nareszcie ks. Bosko uciszyć rozkrzyczaną gromadę.

— Czy wiecie kto w tak cudowny sposób rozmnożył kasztany?

— Ksiądz Bosko — krzyknął któryś z zapaleńców. I znowu płomienne „Niech żyje!“ wyrwało się z młodych piersi.

— To nie ks. Bosko, pomnożył kasztany — ciągnął św. dowódca łobuzów — ks. Bosko był tutaj tylko narzędziem. To Maria Wspomożycielka sprawiła wam tę miłą niespodziankę. A wiecie czego od was za to żąda?...

Nieruchoma przez chwilę fala kędzierzawych czupryn zaczęła się kołysać. Szmer przeleciał po całej gromadzie.

— Maria Najdroższa nasza Matuchna — ciągnął dalej ks. Bosko — pragnie was przez to zachęcić, byście gorąco kochali Jezusa, byście gorliwie i często przystępowali do sakramentów św. i wiernie służyli Jej Boskiemu Synowi. Czy uczynicie to dla Marii?...

— Uczynimy! — odkrzyknęli chórem i zaczęli się gorąco żegnać z ks. Bosko. Ściemniło się już bowiem na dobre i czas byo wracać do domów.

Ks. Bosko długo patrzył za nimi a gdy już wszyscy zniknęli w ciemnościach wieczoru, zawrócił powoli dzo, lecz piersi przepełniała mu nie

do swego pokoju. Zmęczony był bar opisana radość. Z wdzięcznego ser ca rwała się dziękczynna modlitwa do Tej, co była mu zawsze wspomo życielką.

Przyszłość — to my!

Przyszłość, to my!
Przyszłość, to my!
I wszyscy chcą,
Abyśmy szli
Przez życie stale —
Narzód wytrwale

Więc trzeba iść,
Więc trzeba iść.
Stal twardą kuć,
Pleść życia nić,
Iść drogą stale
Naprzód wytrwale.



Tak wygląda ulica w Londynie udekorowana flagami w dniu święta państwowego.

„Czy mi się to uda..."

W mrocznym pokoju starego dwor ku siedział w kącie młody szczupły chłopak i patrzał. Szeroko otwarty mi oczami chłonął w siebie niezwykłe piękno tonącego w ostatnich bla skach zachodu sadu, widocznego przez szeroko otwarte okno. Zmrużył po tym jedno oko i zaczął w po wietrzu kreślić jakieś linie. Odpowiedział mu wybuch śmiechu od drzwi. Chłopak zerwał się na równe nogi i spojrzał w tym kierunku. W drzwiach, wychodzących do obszer nej sieni, stał oparty o framugę dru gi chłopiec w tym samym mniej wię cej wieku i śmiał się wesoło

— Ach ty niepoprawny! Nie mo żesz spojrzeć na nic aby nie widzieć tego na papierze!

— Masz rację! nie mogę' ale jak będziesz podśmiewał się ze mnie, to nie skończę twego portretu!...

— No, no! nie groź mi tak straszliwą karą! nie mogę się doczekać tego portretu!...

Nazajutrz wręczył młody malarz przyjacielowi dobry jego portrecik, wykonany węglem. Zostało to powi tane z zachwytem przez całą rodzinę przyjaciela młodego rysownika, u którego bawił na wakacjach, portretując zawzięcie wszystkich po ko lei.

Najbardziej mnie pociąga twarz ludzka! — mówił, z zapałem szkicując buzię siostry przyjaciela — chciałbym oddać wiernie wszystkie jej wyrazy smutku, radości, bólu i gniewu. I chciałbym namalować jeszcze coś: tragedię i chwałę naszego narodu... Czy mi się to kiedy uda?

Udało się. Artur Grotter, którego setna rocznica urodzin przypadła 11 listopada roku bieżącego, stał się malarzem właśnie tragedji i chwały Polski w niewoli i malarzem ludzkiej twarzy. Obejrzyjcie sobie jego rysunki. Ile w tych twarzach wyrazu i ile nastroju w scenach powstańczych!...

„CZARNY JIM"

Daleko, daleko, bo aż za morzem w Ameryce, w pewnym miasteczku była szkoła, do której uczęszczały oprócz dzieci białych także i czarne, dzieci murzynów. Ci właśnie murzyni są potomkami dawnych niewolników, którzy byli porywani z rodzinnych wiosek z Afryki przez statki pirackie, rozbójnickie. Kapitanowie sprzedawali biednych niewolników na plantacje, gdzie musieli darmo pracować aż do śmierci. Wszystkie ucieczki były karane śmiercią. Dopiero w ubiegłym stuleciu zniesiono tam niewolnictwo i murzyni są obecnie także obywatelami z pełnymi prawami.

Otóż do takiej szkoły uczęszczał także mały murzynek Jim.

Jim dostał w szkole od pana nauczyciela książkę z obrazkami.

Nauczyciel spostrzegł, że mały Jim po przejrzeniu całej książki otworzy ją na pierwszej stronie i z ciekawością przyglądał się obrazkowi.

Po każdej przerwie Jim szybko wracał do klasy otwierał książkę a zobaczywszy obrazek z radości zacierał ręce. Na drugi dzień ledwo pan nauczyciel wszedł Jim pobiegł do niego poprosił o książkę, a kiedy zobaczył obrazek głośno zawołał:

— Jeszcze go nie złapał!

Wszyscy koledzy skupili się wokół Jima pytają dlaczego temu obrazkowi wciąż się tak przygląda. I kto kogo miał złapać?

I tajemnica się wyjaśniła. Obrazek przedstawiał wielkiego lwa, który gonił małego murzynka. Mały głupiutki Jim co chwila z bijącym sercem zaglądał do książki, czy aby lew nie dopędził już murzynka i nie zjadł go.

A teraz widząc wszystkich kolegów wpatrzonych w siebie z dumą podniósł małą kędzierzawą główkę i powiedział:

— Gdyby to był biały chłopak, to ten lew dawnoby już go złapał na śniadnaie, ale czarnego nigdy nie dogoni — o nie!...

Zet Es.





CZAR ZIMY JAPOŃSKIEJ.

Na zdjęciu naszym widzimy fragment pięknego zimowego krajobrazu japońskiego. Również Japonki rozkoszują się popularnymi u nas sportami zimowymi.

GANGSTER W ŁAZIENCE.

Zbyszek nie by tchórzem. To, że wyprawiał niemożliwe awantury przed pójściem do dentysty, albo okrążył nieufnym kołem powiedzmy psa na łańcuchu — to jeszcze niczego nie dowodzi. Wiadomo, że — jak niedawno powiedział w klasie profesor — prawdziwa odwaga nie polega na rzucaniu się, jak szalony, na przeciw niebezpieczeństw, z czego ani sam „odważny", ani nikt nie ma żadnej korzyści. Czy w czasie wielkiej wojny np. najdzielniejsi żołnierze nie kryli się w okopach? No więc!

Cały wstęp jest po to, żeby wam udowodnić, że Zbyszek nie był tchórzem, tylko że poprostu był małym chłopcem. Zachowywał całą swą odwagę na później, na większe lepsze okazje. Wyobraźcie sobie, że np. Zbyszek spotyka... gangstera. Gangstera? ależ czy to nie w Ameryce tylko grasują ci panowie? tak, to Amerykanie mają z nimi kłopot ,ale kto wie, czy i w Polsce nie mogliby się znaleść. Zwłaszcza kiedy Zbyszek wracał z kryminalnego filmu pełnego strzelaniny — zdawało mu się to zupełnie możliwe.

Czy to próżność, przechwałki? Nic podobnego, bo oto dowód:

Wrócił Zbyszek d domu po szkole i — właśnie kiedy wszyscy wyszli — ktoś zadzwonił. Otworzył i cofnął się przerażony. W drzwiach stał gangster. Mężczyzna wysoki, zwalisty z piwnymi oczami i nerwowym nosem, ubrany w zwisający niedbale płaszcz gumowy, z jakąś walizką (może bomby)? w ręku. Drugą rękę wcisnął w kieszeń. Napewno trzyma rewolwer.

— Szczotki, miotełki! — powiedział gangster i łypnął dziko okiem.

Szczotki? miotełki? o, nie Zbyszka brać na takie liche kawały! za la da pretekstem można wcisnąć się do mieszkania, a potym...

— Proszę pana! pan będzie łaskaw zaczekać! ja się zapytam! — powiedział drżącym głosem Zbyszek, otworzył drzwi do łazienki i uprzejmym ruchem wskazał je gangsterowi. A gdy ten wszedł — zamknął je błyskawicznie, przekręcił klucz w zamku i odetchnął z ulgą.

Kiedy w kwadrans po tym przyszli rodzice — Zbyszek rzucił się im naprzeciw.

— Złapałem gangstera! zamknąłem go w azience!

— Cooo?

— Tak! posłuchajcie go!

Nie trzeba było specjalnie wytężać uszu, bo aż korytarz huczał od uderzeń pięści w drzwi łazienki i krzyków:

— Co to znaczy? ja pójdę na policję! ja się już dziś kąpałem! czego ode mnie chcecie?...

Ojciec rzucił się do drzwi i otworzył je szeroko. Kupno szczotki do ubrania ułagodziło więźnia, a Zbyszka poproszono uprzejmie, żeby na drugi ra nie zamykał tak pohopnie kupców podróżujących w łazience.

„entliczki-pętliczki"

Dobre rozwiązania z 21 numeru „Jutrzenki" nadesali:

Kopciuszek z Sosnowca, Lucia Ziętkówna z Sosnowca, Maria Rokicka z Sosnowca. Janina Słaba z Sosnowca, Ludwik Jagiellak z Zawiercia, Stefek Szczepański z Będzina, Jędrek Pomaski z Dąbrowy, Witek Horecki z Czeladzi, Hanusia Podlejska z Zawiercia, Irenka Skórzanka z Będzina, Jadzia Rolska z Grodźca. Kazia Ginterówna z Kielc Hanka Jabłońska z Sosnowca, Stefcia Czarnecka z Będzina, Helenka Stawska z Grodźca, Janeczka Woźnicka z Kielc, Jasia Jodłowska z Grodźca, Halinka Podlejska z Kielc

Nagrody otrzymali: Ludwik Jagiellak z Zawiercia, Janina Słaba z Sosnowca i Jędrek Pomaski z Dąbrowy.

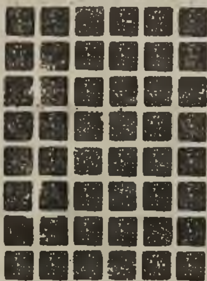
Zagadka

uł. Janina Słaba.

Znasz tego natręta
Co depcze po piętach?
Czy człek stoi, czy ucieka
Ciągle trzyma się człowieka.

Logogryf

nł. Maria Rokicka z Sosnowca



Znaczenie wyrazów: 1) okrycie głowy, 2) imię żeńskie, 3) narzędzie do szycia, 4) służy do wyrobu papierosów (wspak), 5) niezdrowy, 6) przyrządy do mierzenia czasu, 7) inaczej nie młody (wspak), 8) miasto w Polsce.

Pierwszy litery dadzą rozwiązanie.

——:0:——

Logogryf

nł. Lucia Ziętkówna z Sosnowca



W polach oznaczonych kropkami mieści się rozwiązanie. W powyższą figurę wpisać następujące wyrazy:

1) Spółgłoska, 2) nuta, 3) narząd wzroku, 4) zwierzę domowe, 5) imię męskie, 6) kraj w Europie —

Mecz bokserski

Polska—Włochy.

Na trybunie w czasie meczu bokserskiego siedzi dwóch kibiców. Jeden jest zwolennikiem drużyny polskiej, drugi drużyny włoskiej.

Sympatyk Włochów coraz bardziej się denerwuje. Jego sąsiad dopinguje polskich pięściarzy.

— W szczękę go... no jazda...

— Panie — jak można — to przecież goście... gości bić — mitvguje go sąsiad.

— Siedź pan cicho, jeśli panu ten ostatni ząb miły... to jest sport., trzeba bić, ile wlezie... Sierpowym go... O tak... Brawo.. Zwyciężyliśmy 11:5 Hurra. A pan pewnie włoskie lody sprzedaje, że tak za nimi pan przestawał...

— Milcz pan...

Zwolennik drużyny polskiej jednym k. o. powalił przeciwnika. Potem leci do kierownika drużyny polskiej i mówi:

— Panie, niech pan doliczy do wyniku — jedno k. o. dla lodziarza.. Mamy 13:5...

(Wróble na dachu")

